

Bogdan Niemczyk <1964-1968>

"Pięć lat z mojego życia"

Wracam pamięcią do tych wspaniałych lat 60-tych.

Literatom to pewnie nie zostanę nigdy, ale języka polskiego uczyła mnie pani prof. Staw, więc będę z pewnością zrozumiały dla czytających te wspomnienia.

Na szczęście pamięć ludzka jest wybiórcza i chwile szczęśliwe pozostają na zawsze, a złe stopniowo zacierają się w pamięci.

Mnie dano przeżyć pięć lat w Mojej Woli i teraz z całym szacunkiem dla tamtego okresu chciałbym przytoczyć cytat z księgi Koheleta, który niech zostanie mottem tego opowiadania:

"...Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem..."

Moja przygoda z Technikum Leśnym w Mojej Woli rozpoczęła się z chwilą wyjazdu na egzamin wstępny, wraz z moim kuzynem Markiem Mostowskim i moją mamą oraz z wujkiem Mietkiem.

Podróż trwała osiem godzin , przylepiony do szyby okna wagonu z niepokojem oglądałem Wielkopolskę, inną niż moje rodzinne strony.

Był czerwiec, nasilenie prac polowych, a w zaprzęgach idą krowy - coś niespotykanego w okolicach Tomaszowa.

Z dworca kolejowego do internatu Technikum ładne pięć kilometrów po kocich łbach.

Warto było.

Widok, jaki ukazał się moim oczom, oczarował mnie zupełnie.

Już wtedy wiedziałem, że będę się tu uczył, czego nie omieszkałem zakomunikować mamie.

Egzaminy nie sprawiały mi trudności.

Z biologii odpowiadałem koncertowo i z dumą oczekiwałem na wyniki, po których całe grupy z płaczem i zgrzytaniem zębami opuszczały teren Technikum Leśnego.

Wspomnienia Bogdana Niemczyka

Wpisany przez Administrator

czwartek, 09 grudnia 2010 21:38 - Poprawiony czwartek, 09 grudnia 2010 22:09

Tak zostałem uczniem dla nauczycieli, a kotem dla starszych kolegów, bo trzeba wiedzieć, że nie było w 1965 roku naboru i nasz okres rekrutów trwał dwa lata.

Nowe życie rozpoczęło się 1 września 1964 roku wędrówką ludu z tekturowymi walizkami i tobołkami pieszo ze stacji Sośnie do Mojej Woli, w całkiem nowe warunki, z nowymi obowiązkami, z nowymi kolegami.

Sala pięcioosobowa, koledzy przydzieleni alfabetycznie, w sali piece kaflowe, podłogi pastowane. Pod żelaznymi łózkami nasze walizki z całym dobytkiem.

Marek, który również został przyjęty do TL, został zapisany do klasy "B", gdzie wychowawcą był profesor Zaprzalski, a ja do klasy "A" profesora Leraczyka.

Pierwsze dni były przeznaczone na zapoznanie się z kolegami, nauczycielami, najbliższą okolicą.

Mieliśmy poznać zwyczaje, prawa i obowiązki ucznia oraz Hymn - naszą dumę.

W poznawaniu okolicy pomogli nam starsi koledzy, urządzając rykowisko, o którym krążyły legendy, a było ono obowiązkowe dla pierwszoklasistów.

Z tej wyprawy wróciliśmy w niebywałym pośpiechu, umorusani, z wrażeniami o nie opisaniu wielkiej ilości ryczących byków, szarżujących na grupkę wystraszonych chłopaków, łamanych drzewach i dudniącej od kopyt ziemi.

Tak brutalnie spotkała się teoria z praktyką, wykładana przez naszych starszych kolegów pod wodzą starosty szkoły Ryszarda Łęskiego.

Przychodząc w to obce dla mnie środowisko miałem jeszcze jeden problem.

Poza wzrostem [154 cm], który stał się moim utrapieniem, miałem prawie identyczny głos jak kierowniczka internatu pani Kozakowa -siejąca postrach wśród społeczności uczniowskiej. Narażałem się zwłaszcza starszym kolegom, palącym całkiem nielegalnie, którzy widząc idącą do domu kierowniczkę, zapalili sobie spokojnie papierosa i nagle usłyszeli jej głos na korytarzu.

Tak trochę tęskniąc za domem, trochę cierpiąc z powodu obdarowania mnie nikczemnym wzrostem i głosem "doczekałem" końca roku szkolnego uwiecznionego wycieczką w Karkonosze.

Jakie to było wspaniałe przejść z naszym wychowawcą szczytami ze Szklarskiej Poręby do Karpacza - wszystko pamiętam , i jak tylko to było możliwe, na podobną wycieczkę zabrałem swoich najbliższych, żonę i córki.

Już jako dorosły facet patrzyłem, z jakim zachwytem chłoną dzieciaki moje opowieści, przeżywają wspinaczki po górach, zarażają się pięknem przyrody, jak to odbiło się na ich życiu..

I tu muszę napisać, iż młodsza córka jest leśnikiem, pracownikiem Akademii Rolniczej w Poznaniu, gdzie pracę magisterską i doktorat pisała z badań jodły w Karkonoskim Parku Narodowym.

Wg mnie, a na pewno subiektywne to odczucie, pierwszy rok nauki odcisnął piętno na moim życiu.

Po wakacjach, opaleniu, z głowami pełnymi niesamowitych pomysłów, wyruszyliśmy na podbój dalszej okolicy.

W kręgu naszych zainteresowań były stawy Janisławickie i te w pobliżu Szklarki, zwłaszcza, że jesienią rozpoczął się odłów karpi, a w rzece nazywanej Młyńską Wodą było bardzo dużo

drobnicy, którą bez problemu łapaliśmy na prowizoryczne wędkę.

Specjalistą od wędkarstwa w naszej klasie był Genek Weiske.

W trakcie wycieczek nad wodę piekliśmy złapane ryby nad ogniskiem.

Jakież one były pyszne.

Niestety, tylko 2/3 czasu było przeznaczone na sen i zabawę, reszta to szkoła, do której czwórkami udawaliśmy się po apelu.

Wielkim zaskoczeniem dla naszej klasy była wiadomość o odejściu z pracy prof. Leraczyka..

Nowym wychowawcą została pani Daniela Wiatr, a i to nie na długo, bo państwo dyrektorstwo wyprowadzili się z Mojej Woli.

Następnym naszym wychowawcą został pan Wojciech Biegański.

Był całkiem przyzwoitym człowiekiem, którego, ze wstydem muszę przyznać, wykorzystywaliśmy na każdym kroku.

Nasze pomysły na neutralizację nauczycieli były wredne i wyrachowane.

Matematyki uczył nas nieodżałowany prof. W. Junik . Ileż on trudu wkładał, żebyśmy pojęli zasady trygonometrii czy algebry ? A my co ?

Wyczuliśmy, że do pracy przychodzi nie zawsze wyspany. Był młodym tatą, bardzo wrażliwym na ziewanie.

Nasza klasa na matematyce urządziła koncert ziewania, z którym w żaden sposób nie potrafił sobie poradzić pan Junik.

I tak, nie wiadomo czemu, świadomie dokuczaliśmy człowiekowi o gołębim sercu.

W drugiej klasie dziewczyny, o których dotychczas nie pisałem, zaczęły mnie interesować i starałem się przebywać w ich otoczeniu.

W tym czasie nawiązywały się sympatie, pewnie wszyscy podkochiwaliśmy się w naszych dziewczynach.

Rodziły się przyjaźnie.

Edward Bakalarczyk przez pierwsze dwa lata mieszkał kątem u cici, pomagając jej w pralni, a w czwartej i piątej klasie mieszkaliśmy razem.

Razem robiliśmy różne figle.

Nie mam upoważnienia do ich opisanie, ponieważ jeden z takich pomysłów sprawił, że Edward został świadkiem na moim ślubie, a następnie za rok szwagrem.

Wracając do klasy drugiej, zostały wtedy wprowadzone nowe zasady nauki własnej, dzięki czemu każdy zagrożony dwóją uczeń dostał opiekuna, który pomagał mu w nauce. Po latach

muszę przyznać, że te metody sprawiły, iż niemal bez strat osobowych przechodziliśmy do klas następnych, pomimo braku lub zmieniającego się kilka razy w roku wychowawcy.

Na wycieczkę pojechaliśmy z Panem Dyrektorem do Krakowa i Parku Narodowego w Ojcowie, podróżowaliśmy zabytkowym autobusem, z licznymi postojami technicznymi.

Koniec roku to czas festynów i rajdów, a te zawsze miały zakończenie w naszym parku.

Były pełne atrakcji, ze strzelaniem z broni myśliwskiej do rzutków i dzika oraz zabawą.

Nowy rok szkolny i kolejne zmiany.

W internacie powitał nas potężnie zbudowany kierownik Krzysztof Włodek wraz z małżonką.

Cudowny okres mojego życia. Mieszkalem w sześćcioosobowej Sali w północnej części pałacu, z widokiem na budynek mieszkalny kierowcy Jankowskiego.

Do szkoły przyszedł nowy rocznik, ja zdecydowanie podrosłem i zmienił mi się głos, osiągałem dobre wyniki w nauce. W internacie panował luz.

Bardzo szybko zmieniliśmy surowe i twarde zasady mieszkańca internatu na niemalże pensjonariusza domu wczasowego, kształtując jednocześnie łatwowierny charakter Kierownika.

Tu muszę przyznać, że nie byliśmy uczciwymi graczami, narażając pana Włodka na różne nieprzyjemności.

Rok szkolny zakończyła wycieczka.

Mnie przypadł zaszczyt podróżowania z panią prof. Staw do Krakowa, Wieliczki, Krościenka.

Pokazywano nam piękną Polskę, historię narodu tworzoną na Wawelu, bogactwa Ziemi Bocheńskiej.

W czasie wakacji wyjechałem na obóz wędrowny po jeziorach i Ziemi Lubuskiej z panem Wiszem. Niezapomniane wrażenia.

Po wakacjach, wypoczęci, zadziorni, opaleni, z wrażeniami, wracamy do internatu, sprawdzając, co nowego wprowadzono podczas naszej nieobecności.

Na początek grzybobranie w zasobnych lasach, przegląd karpi w stawach, kurtuazyjne odwiedziny u naszych koleżanek, sprawdzanie kulturalnych propozycji Międzyborza, Odolanowa, Ostrowa Wielkopolskiego.

Szybko zorientowaliśmy się, że mamy nowego wychowawcę i paru nauczycieli.

Jesień zapowiadała się burzliwie i taka była.

Wywołałem spięcie z nadleśniczym Czerwińskim. O mały włos nie wyleciałem ze szkoły. To, że pozwolono mi dokończyć naukę, zawdzięczam Panu Dyrektorowi.

Lekcje w klasach nie były jedyną formą przekazywania wiedzy.

Zajęcia praktyczne sprawiały mi ogromną przyjemność, zwłaszcza polowania z nagonką, z zachowaniem tradycji i zasad sztuki łowieckiej.

Wychowawstwo objął pan Krzysztof Włodek, a także wykładał łowiectwo.

Jak pilny był w sprawdzaniu naszej wiedzy, niech świadczy następujący fakt; po godzinie 21 potrafił wpaść do pokoju i twierdząc, że 17 stopni w dzienniku to za mało, wezwać do odpowiedzi. Nie było dyskusji.

W nagrodę zarok nauki pojechaliśmy na wycieczkę do Warszawy.

Mieszkaliśmy w Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa na Wawelskiej, zwiedzaliśmy miasto, zaliczyliśmy "Rewizora" Gogola w Teatrze Ludowym na Puławskiej.

Przyświecała nam myśl profesora Włodka: .."leśnik nie może być chamem - w teatrze powinien być i swoją stolicę znać.."..

Zbliżały się wakacje i planowaliśmy praktyki wakacyjne z urządzania lasu.

Tak pięknie się złożyło, że moje odbywały się w Nadleśnictwie Spała.

Wraz z Tomkiem Kijewskim z Kruszwicy, który przyjechał do mnie swoją Jawą, zameldowaliśmy się pięknie u Pana Nadleśniczego. Otrzymaliśmy pokój gościnny w nadleśnictwie i obiady w stołówce wczasowej.

Jak myśmy szpanowali !.

Odwiedzinom kolegów w okolicznych nadleśnictwach nie było końca, a sama Spała w wakacje to bardzo atrakcyjne miejsce.

Po krótkich wakacjach mieliśmy objąć rządy w internacie, ale na przeszkodzie stanął nowy kierownik internatu pan Pusiak, obrońca pierwszoklasistów. Spadł ten cios na nas jak grom jasnego nieba. Od samego początku wykopał topór wojenny i ustawił nas w tym samym szeregu co kociarstwo.

Na osłodę pozostawiono nam pana Włodka w internacie., bo żona Lusia urodziła syna i musiała się nim opiekować.

[dopisek admina: o ile wiem to Lusia Włodek urodziła nie syna ale córkę Kasię].

Rozpoczął się okres pisania prac dyplomowych, zbierania materiałów, robienia wywiadów i sprawozdań, a także normalnych zajęć lekcyjnych i nie tylko.

Piulnie uczestniczyłem we wszystkich epidemiach nawiedzających internat.

Dla przykładu świerz. Prawdziwy, paskudny, najczęściej powstaje z brudu. A nasza " szlachetna odmiana " wywołana była świerkiem kłującym. Jakim musieliśmy się wykazać talentem aktorskim, jeśli nawet lekarz widział kanaliki pasożytujących świerzów.

Widać takie jest prawo młodych, aby wszystkich poddać weryfikacji i sprawdzić wiedzę akademicką podstępną metodą.

Po Nowym Roku nastał czas studniówek, zaproszenia przyjmowaliśmy z LO z Odolanowa. Później następowały rewizyty dziewcząt na naszej studniówce.

Wspomnienia Bogdana Niemczyka

Wpisany przez Administrator

czwartek, 09 grudnia 2010 21:38 - Poprawiony czwartek, 09 grudnia 2010 22:09

Po próbnej maturze weryfikacja. Czterech kolegów z naszej klasy nie zostało dopuszczonych do matury.

Ta decyzja rady pedagogicznej postawiła resztę abiturientów w stan najwyższego zagrożenia. Pełna mobilizacja pozwoliła nam na zdanie egzaminu bez strat osobowych.

Tydzień odpoczynku i bal maturalny, na którym zaprezentowałem kolegom moją dziewczynę, obecną żonę.

Po ukończeniu szkoły utrzymywałem kontakty koleżeńskie z Jurkiem Szlufikiem, Wojtkiem Szmechtygiem, Zygmuntem Skowronem, Gienkiem Hociem, Emilem Janickim, Andrzejem Potyrałskim.

Znakomitą okazją do odnowienia znajomości są zjazdy koleżeńskie, gdzie na nowo się poznajemy i nasze rodziny mają niepowtarzalną szansę na nawiązywanie przyjaźni.

Tak się stało w przypadku mojej rodziny.

Teraz przyjaźnimy się z Golczakami, Kałużnymi, Tempskimi, Potyrałskimi, Erhardtami, Podworskimi, Bakalarczykowie mają status rodziny.

Mam również kontakt ze starszymi absolwentami naszego Technikum; pani Dorota Chruścielewska z domu Piechna<1953-1957> mieszka w Wąwale k/Tomaszowa, jest emerytką N-ctwa Opoczno, wdową. Także Zbigniew Godlewski<1958-1963> jest nadleśniczym Nadleśnictwa Spała.

Wspomnienia Bogdana Niemczyka

Wpisany przez Administrator

czwartek, 09 grudnia 2010 21:38 - Poprawiony czwartek, 09 grudnia 2010 22:09

Jestem jednym z nielicznych dyrektorów w przemyśle drzewnym, awansowanych w poprzedniej epoce. Po prywatyzacji w 1995 roku kieruję nadal zakładem, drugą kadencję pełnię funkcję V-ce Prezydenta Polskiej Izby Gospodarczej Przemysłu Drzewnego w Poznaniu. Prywatnie jestem żonaty od 33 lat, mam dwie dorosłe córki i od 9-ciu miesięcy jestem dziadkiem.

Bogdan Niemczyk. 2006.